

ELIZA ORZESZKOWA

BABUNIA

WYDANIE PIĄTE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAN — WILNO — ZAKOPANE

52

zm 144.

ELIZA ORZESZKOWA

BABUNIA

WYDANIE PIĄTE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



DRZ.

BAB.

62

Tekst według pierwszego wydania (Iskry r. 1898,
str. 157—184).

Wydanie pierwsze
Odmowa i Liczba
w Siedlonej

I.

W sukni czarnej, w białym czepku na siwych włosach siedziała w pokoju chorych wnuków i przy świetle małej lampy robiła pończoszkę. Synowa, po paru nocach, spędzonych nad łóžeczkami maleństw, spała w pokoju najodleglejszym; w sąsiednim syn pilnie pracował przy biurku. Za oknami ulica ustronna milczała grobowo, bo wieczór był już późny. Chore dzieci spały, babunia dumiała. Prędko, prędko obracała druty pończoszki w palcach żółtawych, na które padało światło lampy; twarz, osłonioną cieniem, jak woalem, pochylała nad robotą i dumiała.

Co się stało biednym maleństwom, że tak nagle zachorowały? Lekarz, przyjaciel domu, gdy je oglądał, miał minę strapioną. O, Boże! Dzieci, to szkło kruche, to lekkie listki jesienne; lada co może je skruszyć i zdmuchnąć! O, Boże! Smutno na ziemi. Każde dobro niepewne, każdy skarb nietrwały; dziś jest, jutro może już nie być; rzadki dzień bez wspomnień żalosnych lub przewidywań trwożnych. Powiadają ludzie, że wspomnienia są klejnotami, zgromadzonemi na porę ubóstwa. Może inni tak czują, ona nie. Dla niej wspomnienia — to obrazy kochane,

oprawione w łzy, a dlatego w łzy, że nie może pa-
trzeć na nie oczyma suchemi.

Ale co im się stało, co im jest, tym kociętom
drogim? Na Wandeczkę lekarz weselej trochę spo-
glądał, ale Tadzio zaniepokoił go widocznie. Bo też
chłopczyna ten nie jest wcale dzieckiem zwykłym,
a dzieci niezwykle... o, Boże!...

W domu i za domem cisza głęboka, i jeden
tylko jest w niej odgłos: w sąsiednim pokoju pióro
skrzypi po papierze, równo, ciągle. Niekiedy też
chore dziecko zaszeleści w pościółce i zcicha zastęka;
wtedy babunia podnosi głowę i, pochylona ku łó-
żeczkom, wsłuchana, oczekująca, tak wygląda, jakby
na pierwsze kiwnięcie palcem tej maryl, która zwie
się nieszczęściem, gotową była biec, lecieć, osłaniać,
bronić... Ale dzieci śpią ciągle. Może to być sen
sztuczny, przywołany przez tę miksturę¹⁾, która we
flaszce stoi na stoliku i sztywną receptą sterczy pod
światłem lampy. Flaszka z receptą w świetle lampy
przysłonionej ma w sobie coś ponurego. Ponurość
pły nie z ciszy grobowej, która dom napelnia, z dłu-
gich cieni, które od sprzętów padają na ściany, z nie-
równych oddechów chorych dzieci, z równego, cią-
głego skrzypienia pióra po papierze w pokoju są-
siednim.

Jak on pracuje, ten wysoki, barczysty czło-
wiek, o północy schylony jeszcze nad biurkiem! Ba-
bunia widzi przez drzwi wpół otwarte plecy jego
przygarbione, głowę, z siwiejącemi włosami, profil
surowy, z goryczą na ustach i siecią zmarszczek na

¹⁾ Mikstura (z łac.) — lekarstwo płynne.

zole. Z postawy i rysów ten syn podobny do ojca, ale nie z charakteru. Jaś był wesoły, otwarty, odważny, miał dłoń wiecznie rozwartą przed ludźmi, a dla niej — choć już siwieli oboje — serce kochanka. Zygmus jest skrytym, ostrożnym i ostrym — nawet dla matki. Ona go nie potępia za to, o, nie! Gdzież tam! Wie doskonale, że szorstka ręka życia zmieła w ten sposób duszę jej syna, znużyła ją i zaprawiła goryczą. Jaś także cierpiał wiele, ale w sposób inny. Babunia umie rozróżniać gatunki cierpień: tyle ich widziała! Nieszczęściem Zygmunia jest to, że żyje w momencie twardym dla życia. Bóle skrywane zasłaly mu, jak kamienie, dno duszy; reszty dokonała praca znojna, z nagrodą zbyt szczupłą. Babunia uniewinnia syna, bo siwa jej głowa pod białym czepkiem myśli więcej i rozumie głębiej, niż się to zdaje otaczającym. Niemniej przyznać się musi przed samą sobą, że trochę lęka się Zygmunia. Nie dlatego, aby wyrządził jej kiedy jaką krzywdę, albo dotkliwą obrazę; owszem, nie uchybia nigdy ceremonjałowi uszanowania synowskiego. Ale ona wie, że ten ceremonjał to forma, z której miłość uciekła. Była kiedyś! Widuje ją i teraz na obrazach, oprawionych w łązy, ale inaczej już nigdy, oddawna. Przytem natura jej miękka i wrażliwa cofa się z trwogą przed głosem ostrym, gestem szorstkim, wejrzeniem chmurnem. Starość uczyniła ją nieśmiałą i wciąż szepce do ucha: «Nie dokuczaj, nie nasuwaj się na oczy, nie przyczyniaj nikomu ciężaru lub więzów!» Więc z jednej strony ceruje i łąta swoją odzież, a z drugiej usuwa się w kącik najgłębszy życia domowego. Pomimo to jeszcze czuje, że zawadza. Sy-

nowa, kobieta uczciwa, lecz oschła i wiecznie stro-
 skana, wolałaby mieć w domu siostrę swoją, niżeli
 matkę męża; usuwa też ją od dzieci, może zazdrosna
 o ich serca. I ma prawo to czynić, ma prawo! Jest im
 najbliższą, one do niej należą. Nawet pokoik pod
 dachem przydałby się bardzo dla wnuczki najstar-
 szej, już podrastającej. Słowami nikt jej nic nie wy-
 rzuca; lecz zdarzają się spojrzenia, gesty, równie wy-
 raźne, jak słowa: a jej i tego nie potrzeba, aby rozu-
 miała, że jest u tego wozu piątem kołem, w tej księ-
 dze kartą żółkłą, z pismem zbladłem, której nikt
 już czytać nie chce. Więc i nie upomina się o to
 nigdy. Cokolwiek czuje i myśli, nie zwierza tego
 przed nikim; wszyscy też mniemają, że lata zgasiły
 w niej doszczętu wszystek ogień i wszystko światło.
 Otrzymuje z łaski syna to, czego jej jeszcze potrzeba:
 kąć ciepły, pożywienie, odzież; gdyby występowała
 z pretensjami innemi, byłaby wprost śmieszną. To
 też nie występuje; lecz niekiedy bardzo wyraźnie
 czuje w sobie jeszcze duszę ludzką, duszę kobiecą,
 której rosół nasycić, ani piec ciepły rozgrzać nie
 może, która też kurczy się i napęnia smutkiem od
 głodu i chłodu, nieznanego ciała. Ciało syte, dusza
 głodna; ale babunia jest rozsądną i uczucie osamot-
 nienia głębokiego kryje przed ludźmi, jak zbrodnię.
 Tylko często, z głową schyloną i rękoma splecio-
 nemi dokoła opadłej na kolana pończoszki, odma-
 wia długi różaniec imion drogich, umilkłych na
 wieki: a wtedy to wszystko, co napęnia jej duszę,
 szczelnie zamkniętą, wylewa się przez oczy kroplami,
 pełnemi obrazów. Na tych obrazach jaśnieją, uśmie-
 chają się, po imieniu ją nazywają oblicza pogasłe na

wieki, drogie, a wśród nich najczęściej, najnatarczywiej, najrzewnziej jedno — najdroższe...

Jednak, w tej chwili, wszystko, co od lat wielu było jej samotnością serdeczną, tęsknotą, żalem, nazywa urojeniami pustemi i grzesznemi. Gorzko wyrzuca sobie, że mogła smucić się, albo pragnąć czegokolwiek wtedy, gdy dzieci były zdrowe. Jakże była samolubną i marną! Pragnąć czegokolwiek, cierpieć, gdy te drogie kocięta są zdrowe i wesołe — to złość i głupota! Teraz dopiero oko w oko spogląda nie-szczęściu prawdziwemu. O życie obojga drży zarówno, lecz musi przyznać się przed Bogiem i sobą, że... no, cóż robić! grzeszną jest, lecz z pomiędzy wnuków, z pomiędzy wszystkich istot żyjących najwięcej kocha — Tadzia: to z pośród kociąt kocię najdroższe. Dziwnie podobny do nieboszczyka Jasia: to samo czoło białe i otwarte, te same oczy błękitne, jak niebo. I ono jedno z rodziny Ignie do niej serdecznie, na jej widok biegnie, rozwierając ramiona, jak ptaszę skrzydła; spędza też z nią często szare godziny zimowe...

II.

Bo w zimowe wieczory babunia przesiaduje najczęściej w pokoiku swoim i odmawia różaniec imion drogich, umilkłych w śmierci lub w oddaleniu; wspomina, a tymczasem szara godzina coraz ciemnieje, ciemnieje, aż pokój na górze z jednym oknem napelnia się grubym zmrokiem. Wtedy zaczyna stawać się wkoło niej rzecz szczególna. W grubym zmroku zaczynają powstawać formy białawe

lub czarne, zrazu jedna, potem kilka, kilkanaście coraz więcej. Babunia jednak ani lęka się, ani dziwi, bo wie oddawna, że są to widma rozsianych po świecie grobowców, które w ciemności ciszy przybywają do niej, mnożą się i stają tak licznymi, jakby kto je tu nasiał pełną garścią. Dokoła fotelu, na którym siedzi, pośrodku pokoju, we wszystkich jego kątach, bieleją w szarym zmroku widma grobowców, wyższe, niższe, pośród których krzyże czarne rozstawionemi ramionami zmrok ten przeryniają. A wśród tych form białawych i czarnych przeszłość lata na cichych skrzydłach i... szepce — szepce imiona zdrobniałe, słowa serdeczne, rozmowy poufne: wszystko, co serce miało, utraciło, a pamięć podjęła dla przechowania dośmiertnego. Szara godzina, pełna białawych i czarnych widm grobowców i krzyży, napelnia się jeszcze szeptem, w który babunia wsłuchuje się pilnie, gdy z oczu jej na suknię czarną pada tyle kropli gorących, ile słów dokoła jej białego czepca wyszeptuje przeszłość.

Wtem — skrzyp! Drzwi otwierają się powoli, i głosik dziecinny zapytuje:

— Czy babunia śpi?

— Nie śpię, kocię najdroższe, nie śpię! a co tam takiego?

— Nic, jak tak sobie... *psysedlem* do babuni... — I już jest na jej kolanach. Zapaliłaby lampę, ale tak mocno oplótł ją ramionami, że poruszyć się jej nie daje. Poco lampa? I pociemku można całować babunię to w jeden policzek, to

w drugi, przyglądać jej włosy nad czołem i głosem cieniutkim prosić:

— Babuniu, *wielse!*

Bo była to namiętność tego malca: uczyć się z ust babuni wszystkiego, co tylko ona sama napamięć umiała.

Więc rozpoczyna się duet:

— A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?

— A czy znasz ty, blacie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?

Za jej głosem łagodnym srebrny głosik dziecinny powtarza rymy, strofy. Widma grobowców i krzyży znikają; od dwu twarzy, ku sobie przybliżonych, bije w grubą, szarą godzinę luna zachwycenia...

III.

Cyt! poruszył się, jęknął, w pół świetle rozległ się szept świszczący: pić!... gorączka. Babunia porwała się z krzesła i tak lekko, jakby miała nogi dwudziestoletnie, przybiegła do małego łóżka. Szklanka z napojem, przyłożona do ust otwierających się, jak dziobek ptaszęcy, kilka słów, zamienionych pieśczętliwymi głosami — dziecko spało znowu. Spało, lecz niespokojnie, z oddechem przyspieszonym, z drganiami bólu na tem drobnem czołe, które było tak uderzająco podobnem do czoła nieboszczyka Jasia. Pochylona, z oczyma wlepionemi w dziecko chore, z rękoma bielejącemi jak opłatki

na sukni czarnej, babunia myślą wołała coraz błagalniej: — Boże! Boże! Boże! — Nic nad to jedno imię myślą wymówić nie mogła, lecz wlała w nie wszystkie siły, cały wzlot, całe napięcie serca strwożonego. Więc nie spostrzegła, że do pokoju weszły dwie kobiety i przy niej stanęły. Jedna z nich szeptała:

— Niech mama już spać idzie. Adelka przysła i będzie czuwać nad dziećmi do rana.

Adelka, siostra synowej, podstarzała panna w jedwabnej sukni, z chłodnemi oczyma i zaciętymi usty... W sercu babuni zawrzało. Dlaczego ma ustępować przed Adelką? Matka, to co innego, ale ta... prawie obca! Jedwabną suknią przy samej główce dziecka szeleści, zbudzić je może, a potem sama zasnąć gotowa, bo serce jej nie będzie pewno młotem takim, przy którego stukaniu spać niepodobna. Wyprostowała się, spojrzała na synową oczyma, w których przemknął błysk dwudziestoletni, i cichym szeptem zaczęła:

— Moja Julciu...

Ale chuda kobieta, ze znużoną twarzą, wpadła jej w mowę:

— Moja mamó, niech się już mama nie sprzecza! Kiedy takie nieszczęście w domu, nie trzeba przynajmniej robić ambarasu ¹⁾.

Robić ambaras! Było to jej staranie wieczne i gorliwe, aby nie robić nikomu ambarasu. Oczy zgasyły, plecy się przygarbiły: miała odejść. Ale Adelka, idąc przez pokój, jak wiatr zaszeleściła

¹⁾ Ambaras (z franc.) — kłopot, trudności.

suknią. Jest-że sens wkładać suknie jedwabne do czuwania nad choremi dziećmi! Splotła ręce, jak do modlitwy:

— Moja Julciu, może pozwolisz, abym tę jedną noc przesiedziała przy nich...

Tu jednak wtrąciła się już Adelka:

— Rozchoruje się pani od niespania i zrobi w domu drugą jeszcze biedę!

A synowa dodała:

— Trzeba, moja mamó, o wieku swoim pamiętać!

Niechże ją Bóg broni, aby miała domowi temu robić biedę jakąkolwiek! O wieku swoim też pamięta. Ma się rozumieć! Jakże mogłaby choć na chwilę zapomnieć o tem, o czem wszystko co chwila jej przypomina?

Odeszła. Tylko co biegła do łóżka chorego wnuka tak lekko, jakby miała lat dwadzieścia, a teraz, gdy przechodzi przez pokój syna, wciąż nad biurkiem pochylonego, stopy jej zaledwie wloką się po ziemi, ból krzyża dolega, i głowa smutna, ciężka o tem tylko myśli, jak zdoła przebyć tę noc nieskończoną, zdala od chorych kociąt, zwłaszcza od Tadzia. Nie wiedzieć, jak mu jest, i co się z nim dzieje — to męczarnia. Wie, że noc głucha przejdzie jej w bezsenności, napętnionej trwogą: więc kibić wąła pochyła się, przygarbia, przybiera pozór starości niedoleżnej. Przytem obuwie, płytkie i znozione, co chwila uderza o podłogę ze śmiesznym odgłosem: klap! klap! Jest w tym odgłosie smutny komizm rzeczy zaniedbanych i zniszczonych. Ale wkrótce miesza się z nim szept przy biurku:

— Mamo! mamo!

Co się stało? Zygmus przemówił do niej! Od lat wielu nie zdarza się to prawie nigdy. Dawniej próbowała o tej porze zbliżyć się do pracującego, pogłaskać go po włosach, przypomnieć potrzebę spoczynku. Ale spostrzegła, że mu przeszkadza, że pocałunek ręki, którym odplaca jej nieśmiałą czułość, jest roztargniony lub zniecierpliwiony: więc nabrała przyzwyczajenia przesuwac się za jego plecami z ciuchością cienia. Teraz on sam ją zawołał. Zdziwiona, zbliżyła się natychmiast.

— A co, Zygmusiu?

Prostując grzbiet stężały od pochylenia i patrząc na nią z pod powiek znużonych, powiedział, że miał potrzebę zajrzeć dziś na strych, dawno nieziedzany przez nikogo, i niespodziewanie znalazł tam w kącie najciemniejszym zegar, o którym wszyscy zapomnieli.

— Ten zegar z kurantami ¹⁾, co to — pamięta mama? — stał w pokoju ojca.

Aż ręce splotła na piersi, tak zdziwiła się i ucieszyła.

— Mój Zygmusiu! Zegar z kurantami! Ależ pamiętam! Jakże mogłabym nie pamiętać! Na strychu, w ciemnym kącie... ot, mój Boże! a dawniej... Nie śmiałam nigdy zapytać się o niego. Aż się znalazł! Czy został tam, Zygmusiu, w ciemnym kącie? Czy będę mogła jutro pójść na strych, do tego kąta... zobaczyć?

¹⁾ Kurant (z franc.) — melodia, arja; zegar z kurantami a. kurantowy — zegar, grający melodie muzyczne.

Mówiła o zegarze, jak o człowieku, wargami drżącymi.

— Myślałem, że widok tego grata sprawi mamie przyjemność, więc sam, ze stróżem, zanieśliłem go do pokoju mamy. Stoi tam przy ścianie. Klucz do nakręcania na szafce. Zardzewiał trochę.

Zapragnęła podziękować, głowę syna, który pomyślał o sprawieniu jej przyjemności, ramieniem ogarnąć; ale ta głowa była już pochylona nad arkuszem papieru, a ręka zatapiała pióro w kałamarzu.

— Tak późno, Zygmusiu... zdrowie stracisz — szepnęła.

Pisząc już i nie podnosząc oczu, odpowiedział:

— Cóż robić, moja mamó? Tak trzeba!

Oddaliła się, myśląc: to prawda! tak trzeba! Uczciwy jest, ma obowiązki ciężkie, czyni im za-
dość wytrwale, twardo. Tylko w potrzebach cięż-
kich i w pracy twardej serce jego ocieężało
i stwardniało. Nie zanikło przecież. Pamiętał stary
zegar, na widok jego pomyślał o matce. Miał serce,
tylko na rozczulanie się czasu nie miał. Życie jest
takim: przyciska serca głazami ciężkimi, aż skur-
czą się, a czasem i skruszą. Szkoda serc, bo są to je-
dyne niefałszywe brylanty świata. Cóż, kiedy tak
trzeba!

Znowu raźnie, lekko wstępowała na ciemne
wschodki. Pilno jej było powitać przyjaciela sta-
rego, świadka czasów przeminionych, który posia-
dał nie tylko oblicze, ale i głos. Miała takie uczucie,
jakby się dowiedziała o powrocie jednego z tych,

którzy odeszli. Ktoś kochany zmartwychwstał. Biegła powiedzieć zmartwychwstałemu: «Jak się masz? czy pamiętasz?»

IV.

Miał już chyba lat ze sto i niegdyś czasy wielkiej świetności. Był lubiony, oglądany, podziwiany, w porach właściwych starannie pobudzany do życia i śpiewu, aż przyszedł czas, że wsunięto go w kąt ciemny; zniknął ze świata i umilkł, jak się zdawało, na wieki. Teraz, nagle, wydobyto go z więzienia, w którem upłynęły mu długie lata.

Była to najprzód szafka hebanowa, dość wysoka, wąska, z bronzowymi ozdobami na powierzchni czarnej i z okrągłym otworem u góry. Przez ten otwór, w obwódce brązowej, wyglądało oblicze zegara okrągłe, żółtawe, z dwunastu znakami rzymskimi dokoła i dwiema długimi linjami wskaźników. W świetle lampy ukazywały się wyraźnie ślady zaniedbania, któremu uległ: szczerby na drzewie, rdza na bronzie; ale pył otarto już ze starannie i klucz do nakręcania złożono na szczycie szafki.

Babunia stała o dwa kroki przed starym zegarem, z głową w białym czepku, nieco podniesioną, z wyrazem zadziwienia we wzniesionych oczach. Zwiędłe jej powieki mrugały prędko; na czole wysokiem sieć drobnych zmarszczek pogłębiła się i kołysała, jak fala wodna. Potem cienkie wargi poruszać się też zaczęły; coś zaszeptala i głową wstrząsnęła tak, jakby mówiła: «Jak się

masz? Pamiętam! pamiętam! czy pamiętasz?» Ale nie przybliżała się jeszcze i ciągle z podniesioną głową patrzała.

Zegar wzajemnie patrzył na nią zgóry przez okrągły otwór z brązową ramką. Linje wskaźników, czarne na tle żółtawem, szeroko rozwarte, nadawały mu wyraz powitania i, jak ramiona rozpostarte do uścisku, mówiły: «Jak się masz? Zbliź się! I ja pamiętam! a jakże! pamiętam!»

Kilka minut upłynęło. Dwa stare oblicza, kobiety i zegara, jedno zdołu, drugie zgóry, patrzyły na siebie bez szmeru i ruchu, w świetle małej lampy u łóżka, okrytego pościelą szczupłą, z krucyfiksem na ścianie.

Po kilku dopiero minutach babunia, znowu z pośpiechem dwudziestoletnim, przystawiła stół do szafki i, stanąwszy na nim, zaczęła oglądać zegar zbliżając i ze stron wszystkich. Cały, caluteńki z wierzchu. Ciekawość, jak tam jest wewnątrz. Można się o tem przekonać po nakręceniu. Niegdyś nakręcać go umiała; potrafi i teraz. Zna go, odkąd żyje. Stał w pokoju jej ojca, potem męża. W dzieciństwie jej wybijał godziny zabaw i nauk, w wieku dojrzałym — szczęścia i smutku; wybił też tę godzinę straszliwą, w której odszedł ją na zawsze jej Jaś najdroższy. Grywał pieśni, nie pamiętała już jakie, lecz które co godzina rozlegały się po domu, zaprawiając melodją cisze nocne, rozmowy gwarne, szepty poufne. Zapragnęła teraz tych pieśni, jak mowy przeszłości zmartwychwstającej. Aby je od zegara otrzymać, trzeba go było w pewien szczególny sposób nakręcić. W zwykły sposób już to

uczyniła i — o, dziwo! — bez zwłoki najmniejszej, oblicze nieme przez lat wiele zagadało szmerem, trochę ochryplym, lecz doskonale miarowym: tak, tak! tak, tak!

Już stary zegar nietylko patrzył, ale i mówił. Gdybyż zaśpiewał jeszcze!

Z kluczem w ręku zaczęła oglądać powierzchnię zegara — przypominać sobie, próbować. Przykładała do punktów różnych klucz i palce, naciskała, otwierała, przesuwiała, majstrowała z takim natężeniem uwagi i chęci, że zmarszczki czoła zbiegły się pomiędzy brwiami w jedną grubą fałdę, wargi wydeły się, oczy piwne nabrały ogników złotych. A oko w oko z tą twarzą kobiecą, pomarszczoną i skupioną, oblicze zegara, okrągłe i żółtawe, przybierało wyraz wesołości żartobliwej, bo światło lampy igrało po niem błyskami migotliwemi, od których też stare brzozy na szafce zapalały się gdzie niedzie iskrą swawolną.

Nakoniec! pod palcami babuni coś zgrzytnęło, wysunęło się, zasunęło... Zegar i wewnątrz cały, nie-zepsuty: będzie grał kuranty! Będzie, lecz nie natychmiast. Grywał zazwyczaj przy wybijaniu godzin; kwadrans jeszcze zaczekać wypadnie. Zaczeka w ciemności, bo nie potrzeba nadaremnie zużywać nafty — i oczy lepiej odpoczną bez światła.

Wygodnie usiadła w starym fotelu, zgasila lampę i — zadziwiła się przyjemnie. Mniemała, że pokój napelni ciemność gruba, tymczasem stanął on cały w świetle prześlicznem. Kędyś, pod niebem nocnem, płynęła zwolna twarz księżycy i uderzała w małe okno smugą światła, podobną do wstęgi

bladozłotej. Plecami oparta o staroświecką poręcz fotelu, babunia siedziała u skraju smugi księżycowej, która posrebrzała jej stopy i suknię, głowę pozostawiając w półmroku. O parę kroków za nią, także w półmroku, stał przy ścianie zegar stary, dobywając z czarnej szafki, jak mumję z futerału, oblicze okrągłe i białe. Babunia, ze splecionemi u piersi rękoma, patrzyła na wstęgę bladozłą, ukośnie spływającą od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek, gdy o słuch jej uderzył łźwięk nieco chrapliwy, jeden tylko, donośny. To zegar wybił godzinę popółnocną. Wnet potem w bladym świetle księżycowem i w ciszy głębokiej rozegła się muzyka — poważna, szeroka, niekiedy kłiwa, jak miłość kochanków, niekiedy dumna, jak triumf rycerza — muzyka poloneza.

Babunia oderwała plecy od wysokiej poręczy fotelu, palec przyłożyła do warg, które zadrżały. Cyt! To ten sam polonez, którego grała na jej weselu orkiestra huczna, którego ona tańczyła z Jasiem w sukni ślubnej, z wieńcem mirtowym na włosach, w sali, napelnionej światłem rzesistem i tłumem twarzy znanych, kochanych!...

Zegar gra; słyhać w nim trąbki, fleciki, harfy, czasem waltornia ¹⁾ uderzy w bas głęboki, a czasem niespodzianie melodję porywa chór dzwonków cichych i, wydzwoniwszy frazes muzyczny, zwraca ją trąbkom, flecikom i harfom. To kurant starego ze-

¹⁾ Waltornia (z niem.) — dęty instrument muzyczny, metalowy, niby długi róg, w kółko skręcony.

gara — ten sam polonez, którego ona tańczyła z Jasiem na swoim weselu...

W sali, napelnionej światłem ognistym, młody i rażny, z szerokiem czołem pod złotymi włosy, z rozkochaniem w błękitnych oczach i z czapeczką kwadratową w ręku, idzie on ku niej, całej w bieli, spłonionej, szczęśliwej. Stał przed nią, ręką, trzymającą czapeczkę, uczynił szeroki gest zapraszający, drugą ujął jej rękę, i poważnym polonezowym krokiem poszli razem w światło rżesiste, w tłum twarzy kochanych, w radość bez skazy, w szczęście bez granic.

Zegar grał, na oczy babuni opadała zasłona wilgotna, lecz, gdy po chwili skupiła się w kroplę dużą i na blade ręce opadła, oczy rozszerzyły się od zdumienia, trwogi, a usta zaszeptały nieprzytomnie: «Co to? kto to? o, Boże!» Z ciałem bezwładnem od zdumienia i trwogi, z głową odgiętą na poręcz fotelu, z ramionami, które podniosły się i drżące w powietrzu zawisły, babunia patrzyła i szeptała: «Co to? kto to? o, Boże!»

V.

Od nieba promiennego ku biednej podłodze z grubych desek, po ukośnej wstędze bladozłotej, zstępował poważnym polonezowym krokiem człowiek młody i rażny, z szerokiem czołem pod złotymi włosy, z rozkochaniem w błękitnem oku, z czapeczką kwadratową w ręku. Poznała go, patrzyła, z ramionami zawieszonemi w powietrzu! A tymczasem zegar grał, i on szedł, od nieba ku jej stopom.

aż stanął przed nią i ręką, trzymającą czapeczkę kwadratową, uczynił szeroki gest zapraszający. Nie mogła jeszcze uczynić poruszenia najlżejszego; więc on zatopił w jej oczy spojrzenie, które знаła tak dobrze, pamiętała tak głęboko, i zcichą rzekł: «Pójdź ze mną!»

Wtedy powstała i, zupełnie tak samo, jak na wieczorze weselnym, z pochyloną głową położyła rękę na jego otwartej dłoni. Zegar grał, a oni poważnym polonezowym krokiem, z twarzami ku sobie obróconymi, szli po wstędze bladozłotej, od biednej podłogi z grubych desek ku niebu promienistemu, coraz wyżej...

Szła lekko, stopami zaledwie dotykając drogi oświetlonej, i długo z pośród uczuć rozmaitych głos jej wynurzyć się nie mógł, aż przemówiła:

— Jak to dobrze, żeś przyszedł po mnie, Jasiu! Tak długo i ciągle tęskniłam za tobą!

On odpowiedział:

— Bóg kocha serca wierne i powraca im miłość szczęśliwą.

Uczuła, że tak było, bo fala napowietrzna, kojąca, ciepła, pełna rozkoszy przeczystej, okryła ich oboje płaszczem rozwieszonym. Tak połączeni, szli dalej, coraz wyżej, a za nimi ziemia coraz dalsza, na nizinie coraz głębszej, malała, znikała.

Z twarzą, ku jego twarzy obróconą, mówiła:

— Jakiś ty młody, Jasiu! Gdy odchodziłeś, włosy ci bieleły, i plecy garbiły się trochę: a teraz jesteś zupełnie takim, jakim byłeś, gdy, siedząc przy moich krosienkach, po raz pierwszy rzekłeś, że mnie kochasz.

Z uśmiechem wskazał wstęgę bladozłotą, po której szli, i rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała — jak dziewczyna w strumieniu przejrzała się we wstędze, usłanej z promieni — i zobaczyła siebie młodą, wysmukłą, hożą, całą w bieli, z mgłą ślubnego woalu na włosach krucznych. I nie tylko zobaczyła, ale także uczuła się młodą, hożą, gibką, ze stopami, zrywającymi się do biegu, z powiekami, wstydliwie opadającymi na oczy olśnione i zdumione. Płonąc radością i zawstydzeniem, szepnęła:

— Gdzież się podziały lata, które, jak ciężkie plugi, orały mi ciało i duszę?

On, razem z nią pochylony nad zwierciadłem bladozłotem, odbijającym postacie młode i napowietrznym płaszczem miłości okryte, odpowiedział:

— Bóg kocha ciężko strudzonych i wraca im młodość.

Znajdowali się już bardzo wysoko, wśród gwiazd, których kule ogromne, złote, rubinowe, szmaragdowe, zakreślały w przestworzach nieskończonych harmonijne elipsy¹⁾ i koła. Nieskazitelną czystość eteru²⁾ rozlegała się po tych przestworzach; w ciszy, pełnej światła, linii, ruchów zgodnych a swobodnych, mleczne drogi rozwijały kobierce, gubiące się w nieskończoności; komety świetlne przelatowały, szumiąc warkoczami, splecionymi z płomieni,

¹⁾ Elipsa (z greck.) — krzywa linja zamknięta, o postaci koła spłaszczonego; ²⁾ eter (z greck.) — to, co wypełnia przestrzeń między ciałami niebieskimi.

jak bory, gdy po ich wierzchołkach szumią skrzydła orkanów niebieskich. Oboje teraz, młodzi i piękni, okryci płaszczem miłości szczęśliwej, nie szli już, ale płynęli nad wstęgą bladą, coraz wyżej. Ona ręce zaplotła mu u szyi, on kibić jej objął ramieniem i z ustami przy jej czole mówi:

— Otwórz serce i pokaż mi je aż do dna. Opowiedz wszystko, skarż się, oskarżaj. Nim dopłyniemy do celu, złóż w dłonie moje wszystkie brzemiona, które niosłaś, abym je mógł pokazać tam, jako okup wejścia dla ciebie...

Jeszcze nie skończył, a ona zaczęła już spełniać jego żądanie. Stało się to bez żadnego udziału jej woli. Prosto ufność bezgraniczna przyszła, i serce jej naościę przed nim otworzyła. Rok po roku, dzień po dniu, od momentu, w którym się rozstali, aż do tego, w którym przyszedł po nią, z ust jej popłynął różaniec paciorek ciemnych, po których gdzieś niegdzie tylko ślizgały się blade światełka. Z głową, złożoną na jego piersi, mówiła wszystko, żaliła się, opowiadała i jednego tylko z żądań jego spełnić nie mogła: nie oskarżyła nikogo. Bywała opuszczaną i zapomnianą, dusza jej żyła długo w osamotnieniu i chłodzie; ale nikt temu nie winien, nikt! Wszyscy biedni na ziemi, wszyscy ciężkie brzemiona dźwigają: więc i ona dźwigała swoje, bo widać tak było potrzeba; a zawsze czuła to i myślała, że małej, w cierpieniu i winach wszystkim równej, przystoi jej tylko — przebaczać i milczeć. Więc nawet przed duszą własną nie oskarżała nikogo, a odkąd się z nim rozstała, nie opowiadała duszy swej przed nikim. Ale teraz, gdy to czyni, czuje, że wraz ze słó-

wami wychodzą z niej wszystkie gorycze i żale, a natomiast wstępuje taka lekkość, jakby straciła wszelki pyłek brzemion ziemskich, a wzamian dostała — skrzydeł.

Znowu zatrzymał ją i, wskazując na szlak promienny, nad którym płynęli, rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała i w zwierciadle bladozłotem zobaczyła, że u jej sukni ślubnej wyrosły skrzydła. Krzyknęła z podziwu, ale nie był to krzyk taki, jakie rozlegają się na ziemi, bo z ust jej wyszedł akordem muzycznym, wydłużonym w pieśń radosną, która, lecąc od gwiazdy do gwiazdy, echami zaczepiała każdą i razem z gwiazdami płynęła w przestworza nieskończone. On zaś rzekł:

— Bóg kocha cierpiących bez skargi i daje im radość bez granic!

Płynęli dalej, w napowietrznym płaszczu miłości szczęśliwej, z lecącą przestworami pieśnią radości bezgranicznej, coraz wyżej.

Patrząc na niezmąconą pogodę jego oczu, przypomniała sobie chmury ciężkie, które się niegdyś w nich odbijały, zapytała:

— Czy jesteś zbawiony?

On zapytaniem wzajemnem odpowiedział:

— Czy pamiętasz, co najwięcej kochałem na ziemi?

— Pamiętam — odrzekła. — Nade mnie, nad siebie i nad wszystko swoje kochałeś to, co nie było dla ust twych żywnością, ani dla ciała twojego schronieniem, ani dla głowy twej wieńcem chwały, ani dla piersi twej tarczą obrony. Przeciwnie, miłość ta

była nieszczęściem twojem, chmurami przeglądała się w twych oczach, i może przez nią — zawsze to sobie myślałam — przedwcześnie opuściłeś ziemię. Teraz przyobleka cię pogoda niezmacona.

Gdy przestała mówić, odpowiedział:

— Bóg kocha tych, którzy cierpią nie za siebie — i daje im niebo.

Byli już u wrót nieba; głos jego utonął w wybuchającym tu chórze głosów potężnych.

Po przestworzu rozpościerała się zasłona, nieścigniona¹⁾ okiem, w której przezroczach kryształowych płonęły wszystkie diamenty i rozwijały się wszystkie kwiaty, jakie były kiedykolwiek w łonach i wykwiwały z łon światów wszystkich. Wznosiły tam arkady²⁾ wszystkie tęcze i rozwijały się w kobierce wszystkie mgławice, zorze, jutrzeńki, jakiekolwiek zdobiły kiedy wszystkie niebiosy; i, cokolwiek na globach niezliczonych, wirujących po przestrzeniach bezgranicznych, było zaczątkiem piękności, wszelka barwa, linja, forma, nosząca w sobie jej pierwiastek, tu dosięgała pełni swej doskonałej. W tej zasłonie, rozpostartej u wrót niebieskich, odbijało się wszystko, co tylko było pięknem na światach niezliczonych, ale w spotęgowaniu, tak niepojętem dla istoty ziemskiej, jak są dla niej niepojętemi: Wszchemoc i Bezmiar.

U bezmiaru zaś piękności, z którego była utkaną zasłona niebieska, grał bezmiar tonów.

¹⁾ Nieścigniony (mało używ., staropol. niezścigniony) ... niedający się doścignąć, niedościgły; ²⁾ arkada (z łac.) - sklepienie łukowe, łuk.

Gwiazdy, w wiekuistych podróżach swych tu przybywające, obracały się na swych osiach z graniem zgodnem i łagodnem; komety przelatujące ziały pieśnią materji, topiącej się w ogniu, eter dzwonił po kryształach, a morza, puszcze, otchłanie bezdenne, skrzydła niezliczone, wszystkie płomienie, gorejące na wszystkich światach, szumiały chórem gam¹⁾, przebiegających wszechświat od krańca do krańca.

Lecz w tym hymnie ogromów pełno też było — o, dziwo! — głosów bardzo drobnych. Wyglądało to tak, jak szczebioty ptactwa malutkiego, szmery robaczków, pełzających w trawach, szelesty, z jakimi kielki roślinne dobywają się z ziarn pękających, kwilenia w kolebkach, łkania w cichych nocach... Muzyka gwiazd, komet, eteru, mórz, puszczy, skrzydeł i płomieni — nie zagłuszała wcale tych głosów maluczkich: owszem, usiewały ją one, jak ziarenka maku rolę bezbrzeżną, wyraźne, równe jej i — równie słuchane.

Kobieta w sukni ślubnej, ze skrzydłami u ramion, z rękoma, zarzuconemi na szyję najdroższą, stała u zaslony, okrywającej wrota niebieskie i — słuchała. W zachwyceniu i podziwie słuchała muzyki potęg, lecz najsilniej słuch jej wabiły głosy malutkie. Pośród nich żyła, z pośród nich tu przyszła.

— Czy słyszysz, Jasiu? To w pierwszym dnia brzasku szary wróbel odzywa się pod dachem, a ten szmer cichy wydaje boża krówka, gdy z jednego źdźbła trawy przesuwają się na inne. Z takim szele-

¹⁾ Gama (z greck.) — szereg następujących po sobie dźwięków.

stem kłos zboża, przez wiatr dotknięty, kłania się dosom innym... a to westchnienie... o, jakże mi znane! To Zygmus, po pracy znoonej, z głową bezsenną, przewraca się na pościeli i wzdycha. Czy słyszysz, Jasiu?

Wtem, wśród ziarn maku, rozsianych po roli bezbrzeżnej, jedno jeszcze zawołało ku niebu. Była to muzyczka drobna, złożona z trąbek, flecików i dzwonków. Kędyś, na nizinie, stary zegar z kurantami grał...

— Czy słyszysz, Jasiu?

Słuchał. Z ziemi, z pod dachu, rzuconego pomiędzy tysiące dachów, dobywała się muzyczka drobna, lecz poważna i szeroka, niekiedy tkliwa, jak miłość kochanków, niekiedy dumna, jak triumf rycerza — muzyka poloneza. Słuchał — i niebieską pogodę jego oczu powlekać zaczęła łza.

Strwożona zapytała:

— Czy zbawieni płaczą?

On odpowiedział:

— Są na ziemi takie opary, które wzbijają się łzami do oczu nawet — zbawionych.

Wtem z roju głosów malutkich, usiewających potężny chór ogromów, dobył się jeden jeszcze; był to wyraźny, żaloszny płacz dziecka.

— Tadzio płacze!

Przestała słyszeć gwiazdy i morza; słuchała płaczu dziecka.

— Czy słyszysz, Jasiu? Tadzio płacze... Biedactwo bardzo chore, i jest tam przy nim kobieta z zimnemi oczyma, która szelestem sukni jedwabnej budzi go ze snu. Coraz mocniej płacze... Ja jedna

uciszać, pocieszać go umiem. Ach, jak płacze! Czy słyszysz, Jasiu?

Nie słyszał. Z głową, pochyloną ku nizinie odległej, wsłuchiwał się w kurant zegaru, śpiewający o tem, co najwięcej kochał na ziemi, co nie było dla ust jego żywnością, ani dla ciała schronieniem, ani dla głowy wieńcem chwały, ani dla piersi puklerzem obrony — lecz tylko dla serca miłością i bólem bez granic.

W pobliżu zaś zegara, grającego kuranta, rozlegał się wciąż płacz dziecka, coraz głośniejszy, zmieszany z wołaniem coraz żałośniejszem:

— Babuniu! babuniu!

Kobieta od wrót nieba krzyknęła ku ziemi:

— Idę, kocię najdroższe! idę, lecę!

Zleciała ze wstęgi bladozłotej i z pośród gwiazd grających, z pod zasłony, utkanej z bezmiaru piękna spadła w próżnię ciemną, głuchą, bezdenną.

VI.

Od dość już dawna kędyś na niebie tarcza księżycy zsunęła się z widnokregu i pociągnęła za sobą wszystkie swoje światła; poszła też z niemi za światy wstęga bladozłota, która przez okno pokoiku babuni spływała od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek. Teraz okno to kwadratową płachtą szarą przerzynało ciemność czarną. Babunia obudziła się w czarnej ciemności i w ciszy głuchej. Tylko stary zegar nad jej głową tętniał miarowo: tak-tak!, tak-tak! a zdołu, z pod podłogi dochodził płacz dziecka głośny, żalorny.

Oczy babuni pełne jeszcze były światła niebieskich i rysów oblicza najdroższego; w uszach jej brzmiała muzyka gwiazd coraz dalsza, konająca, twarz oblał strumień łez. Ale z twarzą w łzach stała wyprostowana, szepcząc:

— Tadzio płacze!

Drżącemi rękoma zapaliła lampę, w której świetle oblicze zegara spojrzało na nią zgóry i wskaznikami, szeroko rozstawionemi, objawiło zdziwienie niezmierne.

— Wróciłaś? Jakto! Od wrót nieba wróciłaś? Zatrzęsła głową.

Ale na rozmowę z przyjacielem starym czasu nie miała; już zstępowała ze wschodów prędko, śpiesznie, aż znalazła się w pokoju chorych dzieci.

Wandeczka cicho leżała w pościeli, lecz Tadzio bardzo płakał. Babunia, z głową podniesioną, przebiła się do niego przez gromadkę niewiast, naradzających się i strwożonych. Teraz pomiędzy nią a nią nikt stawać nie może. Ona dla niego wróciła od wrót nieba.

— Kocię najdroższe!

— Babuniu!

Chociaż miał lat kilka, był wątłym, lekkim, i babunia, dźwignawszy go w ramionach, nosić zaczęła w słabem świetle lampy nocnej, pośród cieni, które od sprzętów padały na ściany. Chodząc, głosem drżącym, czasem aż dygocącym, nuciła stary kurent zegara.

Płacz dziecka ustawał, zmieniał się w ciche chlupanie; twarz drobna, rozpalona gorączką, miło-

śnie tuliła się do ramienia najdroższego, aż głosik
spłakany przemówił:

— Babuniu, *wiełse!*

— Wiersze, kocie najdroższe! chcesz wierszy?
dobrze, zaraz będą!

Wśród długich cieni, które od sprzętów padały
na ściany, w słabym świetle lampy nocnej, nosząc
go w ramionach, posuwistym, polonezowym kro-
kiem, to w jedną stronę, to w drugą, na nutę starego
kuranta trochę śpiewać, a trochę mówić zaczęła:

— Dwór pod lipą stoi biały,
Pod Piastowym dębem chata...

A on, który znał to już dobrze, razem z nią
mówił dalej:

— Nad nią bocian gniazdko splata,
A w niej *zije* lud *zuchwali*.